

Teatr piórem Temidy

Dla kogo to widowisko?

Nie znajduję żadnego powodu, dla którego Teatr Rozmaitości wystawił zwietrzałą już i silnie przereklamowaną sztukę Tony'ego Kushnera. Po obejrzeniu „Aniołów w Ameryce” nie znajduję też powodu, dla którego rozpętano przed premierą spektaklu tak masową i wręcz histeryczną promocję tego widowiska. Widowiska, które okazało się nudną sześciogodzinną tragifarsą ułożoną coś na kształt komiksu: obrazek, wyciemnienie, aktorzy wchodzą, znowu obrazek, wyciemnienie, itd., itd. Chyba że za powód reanimacji tej sztuki niskich lotów uznamy osobiste sprawy reżysera Krzysztofa Warlikowskiego (kompleksy czy coś w tym rodzaju). No bo co mnie, widza, mogą obchodzić jakieś dewiacyjne romanse i zdrady homoseksualistów w środowisku żydowskim z udziałem małżeńskiej pary mormońskiej w Nowym Jorku. A tak właśnie można by najkrócej określić ten spektakl.

Rzecz rozpoczyna się od przemówienia rabina (wyrzista w tej epizodycznej roli Stanisława Celińska) w domu pogrzebowym nad trumną zmarłej nestorki rodziny żydowskiej, a kończy finałową sceną ukazującą model nowej rodziny składającej się z trzech homoseksualistów i jednej kobiety – mormonki (żeby było pikantniej). Po drodze zaś – a droga to długa, bo trwająca aż sześć godzin i silnie bełkotliwa – pojawiają się rozmaitości, głównie dotyczące spraw erotycznych w środowisku homoseksualistów. No bo trudno by nazwać miłością to, co na scenie dzieje się między postaciami. Niektóre sceny można wręcz określić jako pornograficzne. I to

w tym najbardziej wulgarnym wydaniu. Sceny te są do niczego nie potrzebne, gdyż w ten sposób ani nie prezentują jakiegos problemu, ani też nic nie wyjaśniają. Chyba że w sferze wyłącznie wizualnej zadowalają samego reżysera, a być może też i grupkę homoseksualistów siedzących na widowni.

Porażka inscenizacji Krzysztofa Warlikowskiego zaczyna się już na etapie nieudolnej adaptacji tekstu. Widać tu wprost niewolnicze przywiązanie reżysera do tego tasiecowego tekstu. O ile na ową „tasiecowatość” mógł sobie pozwolić swego czasu Mike Nicholas, sprawnie realizując „Anioły w Ameryce” jako serial telewizyjny i obsadzając w

nim znakomitych aktorów (m.in. Al. Pacino, Meryl Streep), którzy pogłębili grane przez siebie postaci, nawet bardziej aniżeli jest to w tekście Kushnera, to w przypadku Warlikowskiego rzecz jest nieudana tak pod względem myśli inscenizacyjnej (kompletny chaos, a im bliżej finału, tym większa bezzadność reżysera), jak i wykonania aktorskiego. Właściwie to w większości obsady nie wiadomo, dlaczego postaci tak, a nie inaczej się zachowują, dlaczego takie, a nie inne podejmują działania, kim są. Brak wyraźnej motywacji wprowadza bałagan w relacjach między bohaterami.

Do nieudolności reżyserskiej dołącza także nieudolność aktorska. Dlaczego na przykład Andrzej Chyra, ponoć centralna postać spektaklu, cyniczny adwokat Roy Cohn, niby ukrywający swój homoseksualizm, typowy karierowicz, wygrywa na jednej nucie niemal wszystkie swoje kwestie. A przy tym rzadko które z nich docierają w sposób słyszalny na widownię. Wina jest nie tylko samego aktora, który ową „zamułoną” dykcją wyraźnie ignoruje publiczność, ale to przede wszystkim wina reżysera, że dopuścił do takiego stanu rzeczy. Ba, sam też przyczynił się tutaj, fatalnie sadzając aktorów w niektórych scenach tyłem do widowni, co jeszcze bardziej pogarsza komunikację sceny z widownią. Ale najgorszą dykcją popisuje się tu Tomasz Tyndyk, gra-

jący postać chorego na AIDS homoseksualisty, którego ze strachu przed chorobą opuścił właśnie kochanek Louis. Trudno się w końcu Louisowi dziwić, bo Tyndyk niby umiera, a jest wciąż tak żywotny i tak nadekspresywny w ruchu (prawie jak wiatrak operuje ramionami), i tak namolny, i tak nieprzekonywający w tej roli, że trudno wytrzymać.

Louis też jest homoseksualistą, Żydem, i to Żydem wierzącym, wszak nosi charakterystyczne dla pobożnych Żydów nakrycie głowy. Pochodzenie nie przeszkadza mu jednak romansować z nowym partnerem, żonatym mormonem. Louisa gra Jacek Poniedziałek, który mógłby doprawdy konkurować z Tyndykiem o palmę pierwszeństwa w bełkotliwym podawaniu tekstu. Natomiast rolę Joego, żonatego mormona homoseksualisty, odbijającego się jak piłeczka pingpongowa między dwoma kochankami Louisem i Royem, gra – niczym śnięta ryba – Maciej Stuhr. Byłby prawie niewidoczny w swoim anemicznym emploi, gdyby w pewnym momencie nie rozebrał się do naga. Ale to i tak nie pomogło aktorowi nadać większej wyrazistości postaci Joego.

Brak konsekwencji w prowadzeniu postaci i nagromadzenie nowych miejsc niby-akcji, które nie znajdują umotywowania – jest tutaj sporo. Niektóre sceny wydają się być na siłę wtłoczone, nie mając ze sobą wzajemnie wiele wspól-

nego. Najmniej przekonujący jest bohater Tyndyka, skazany na śmierć z powodu AIDS, jest tu postacią lejtmo-tywem. Niby umiera, a pod koniec ożywa naprawdę, wyciąga go z tej opresji anioł w osobie Magdaleny Cieleckiej, którą tu ubrano do zupełnie innej roli, bardziej call-girl. To już wyraźnie zakrawa na prześmiewczą wymowę obecności anioła w spektaklu. Podobnie jak w scenie „piety”, gdzie Cielecka ubrana w niebieską suknię, upozowana niby na Matkę Bożą, trzyma na rękach manekina upodobnionego do bohatera Tyndyka umierającego na AIDS.

Można powiedzieć, że każde środowisko chce mieć swoją „Trędowatą”. Reżyser pewnie chciałby, abym jako widz przejęła się tą „romansową” historią, którą zamierzał poruszyć publiczność. Ale nie jest to możliwe, choćby z tego powodu, że Mniszkówna miała rację, iż nie należy być wyniosłym w stosunku do kogoś, kto się gorzej czy niżej urodził. A tutaj żadnych racji nie znajduję po stronie tych czy innych postaci, jak również po stronie samego autora. Nadbudowywanie zaś przez recenzentów filozofii temu marnemu widowisku czyni je jeszcze bardziej żalonym. A już określanie tego bełkotliwego pustosłowia współczesnymi „Dziadami” wskazuje na jakąś aberrację umysłową recenzenta.

Temida Stankiewicz-Podhorecka